№ XI. Cena 2 m.

Łazik



— Jaśku, Jaśku, cemu jedzies?
Czy mi aby wierny bedzies?
— Boś to jedna? Jest i druga, —
co ślepiami na mnie mruga.
—Wspomnij noce, wspomnij ranki
nie nańdzies takiej kochanki.

— Hale! ot, głupia dziewucha!
Od tamtej tyz gorąc bucha.
— Ady wszystko u mnie miałeś
dawałam, co ino chciałeś.
— Byłaś mi, Jaguś, najsłodsza,
lecz nie dałaś, czego potrza.

— A ta druga, myślisz, da ci?
Może złem za dobre płaci?
— Chociaż zmoże, chociaż znęka
Niech ta!
— Kto ona?
— Wojenka!

MATKA I SYN.

Matka.

Więc idziesz? już tak prędko... Synu!

Syn.

Matko! szybkiego trzeba czynu
Czynu, jak piorun, jako grom...
Idę ratować ojców dom
Idę by bronić naszej ziemi
Rękami może i słabemi,
Lecz które zdławią przemoc wroga...
To dziś jedyna dla nas droga
I wszyscy muszą po niej iść...
Zdepczemy przemoc, gdyby liść
I odrzucimy precz te hordy,
Co niosą ogień, gwałt i mordy
W spokojny, cichy, jasny kraj...
Zwycięstwo — nasze!

Matka.

...Boże daj!
O Synu! dziad twój z pod Grochowa
Wrócił bez ręki w dom ojczysty.
Ojciec twój w tundrze zmarł lesistej
Zagnany w obce, wraże strony —
Z klątwą na ustach zmarł, z nakazem,
Byśmy tu trwali wszyscy, razem,
Z sercem, dyszącem zemsty żądzą,
Z duszą, co miała moc kamienną
Z wiarą, że nigdy nie pobłądzą
Ci, co wpatrzeni w jutra zorze,
W nadzieję świtu przepromienną
Królestwo chcą tu wskrzesić Boże.
A jeśli walczą o nie mieczem,
Tak, jak i słowem, od stu lat
To na to, by zrozumiał świat,
Że my się Polski nie wyrzeczem,
I tak jak dzisiaj nie ucieczem
Przed wrogiem z naszych drogich chat!

Syn...

Matko, lecz gdy się front przybliży,
Gdy tu podejdzie podły wróg

Matka.

Z nami Bóg!
Nas blizkość frontu nie przeraża...
Tu jednolity tworzym front!
Aż pierzchnie wreszcie siła wraża,
Pod którą pali się już lont —
Walczyć będziemy do ostatka
Z zapałem, który w sercu tli!
Póki ojczyzna, nasza Matka
Będzie ofiary żądać z krwi!
O każdy dom, o każdą bramę
Będziemy toczyć wściekły bój!
Żywą napotka w drodze tamę
Wróg i grób tutaj znajdzie swój!

Syn.

Matko! już muszę iść...
Bądź zdrowa!

Matka.

Idź, jako ojce poszli twoi,
Z wiarą, bez zwątpień, bez rozpaczy.
Matka ci drogę krzyżem znaczy,
Młodości błogosławi twojej.
I modlić się za ciebie będzie!
Idź! walcz i wytrwaj zawsze, wszędzie!
Bo ci jednego nie przebaczy
Ani ja, matka, ni Ojczyzna,
Gdybyś się uląkł, synu, wroga
Gdyby wstecz poszła twoja noga!
Gdybyś miał chyłkiem ujść z tej bitwy!
Idź! na śmiertelne te gonitwy
Wzywa cię ziemia nasza żyzna
Dziś stratowana i zniszczona!
Przedemną — matką ci jest Ona!
Idź! niech cię wiodą me modlitwy!

TEKA.

MAZUR NA POSTOJU.

Rozegrały się skrzypeczki
Roześmiały się dzieweczki —
Idą pary w tan.

A kapela rżnie ogniście,
Suną pary zamaszyście
Niczem wichr przez łan.

Z amarantu lśnią wyłogi,
Lekko dzwonią wkrąg ostrogi,
Wokół tuman-kurz!

Kraśna Maryś z przemęczenia
Zwisa prawie u ramienia...
Ułan, puscaj juz!

Ja nie puszczę cię, dziewczyno,
Gdy mazura dźwięki płyną —
Tańcz, choć braknie sił!

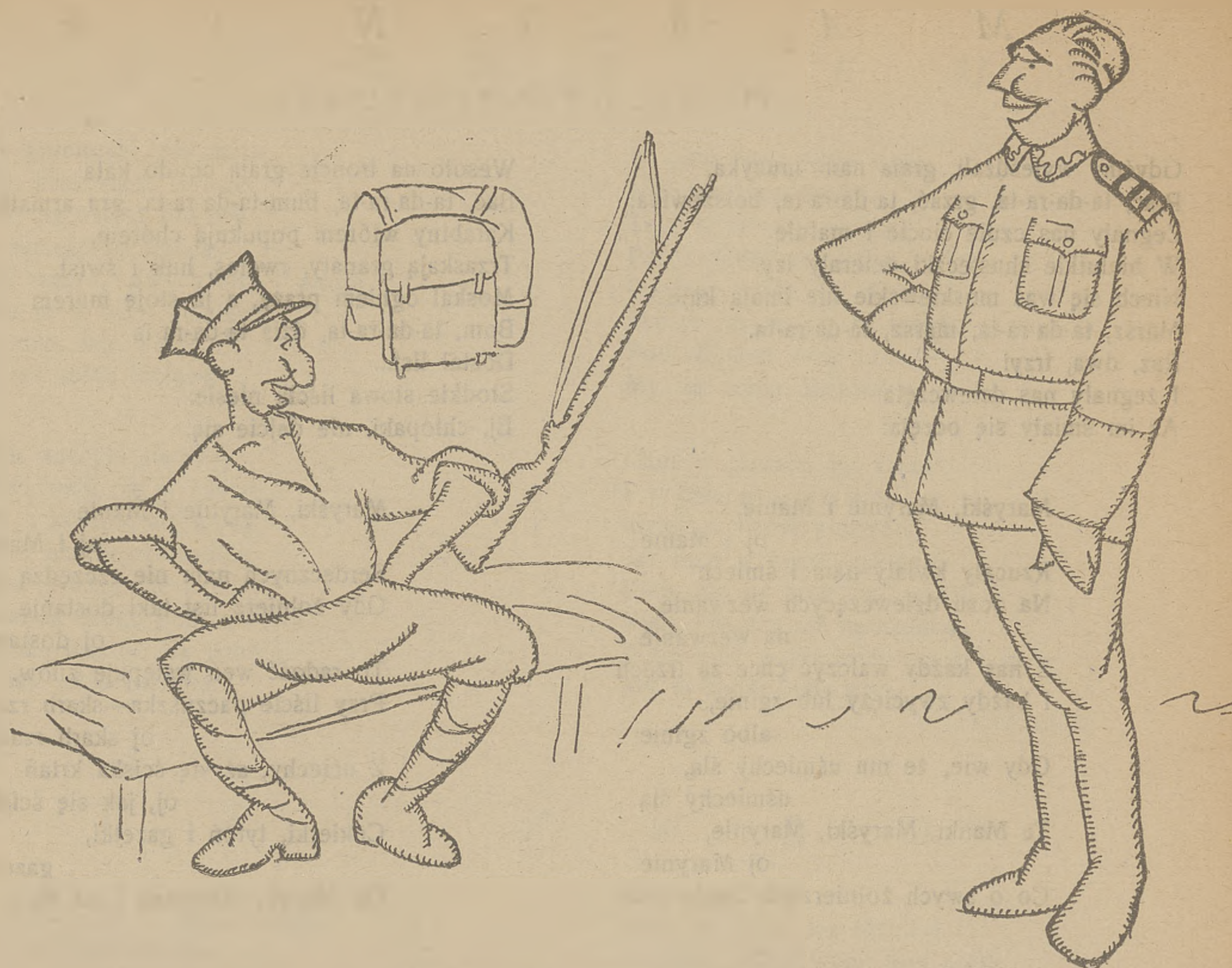
Dzisiaj tańczę. Jutro może
Hen na polu kości złożę
I nie będę żył.

Suną pary za parami,
Swit rysuje za oknami
Cienie drzew i chat.

Stanął w progu dziaduś stary
I nie daje oczom wiary —
Sen to dawnych lat?

Kapr. JULJUSZ DAR.

Z ROZMÓW TELEFONERA.



— Słuchaj, Telefoner, jeżeli chcemy zatoczyć działo na pozycję, to jaką komendę wydać należy, gdy działo to jest połączone z półwoziem?

— Odprzodkować, panie ogniomistrz?

— Dobrze. A jaka będzie komenda przeciwna?

— Uj! Pan jest bardzo nieprzyzwoity, panie ogniomistrz...

— Telefoner, czemuś ty w poniedziałek nie był na ćwiczeniach?

— W poniedziałek? W poniedziałek to ja pomagałem w kancelarji przenosić papiry.

— A we wtorek?

— We wtorek były ymynyny mojej żony, to mnie pan szerżant zwolnił.

— Ale i w środę nie byłeś!

— We szrodę? we szrode ja sobie skaleczyłem palec, co mi go doktór oglądał.

— A w czwartek, durniu jeden!

— We czwartek był rozchodesz, to jest nasze szwięto.

— Ty się nie wyłguj, bo i w piątek nie byłeś.

— W piątek, panie kapral, ja musiałem iść do kąpieli.

— No a w sobotę?

— Uj panie kapral cały tydzień ćwiczenia i ćwiczenia, to by już chociaż w sobotę możno było odpocząć:

— Telefoner, wybierz sobie co z bufetu, funduję ci.

— Już wybrałem panie sierżant.

— Co takiego?

— Srebrną łyżeczkę.

Żona do Telefonera: Słuchaj Kuba, czemu ty nie masz deputat choć potrzebujesz mieć żonę i chwalić Boga trzy dzieci.

— Głupia jesteś, na co mnie deputat, jak ja mam całą składnicę żywnościową w domu?

— Jaką znów składnicę?

— Ty masz — mleko, ja mam cukier, Izydorek ma migdały, Pikuś — wątrobę i nerki, a Salcia to nie jest cała gęś?

— Cóż, Telefoner, zbadałeś tę drogę?

— Tak jest, panie sierżant.

— Czy będzie można przejść?

— Nie.

— Dlaczego?

— Wisz pan, tam stoi taki duży pies i un warczy.

NA KWATERZE.

Porucznik: Gil, mnie się coś widzi, żeś ty zabobonny?

Ordynans: Z czego pan por. poznaje?

Por: Z rana zostawiłem w pudełku 13 papierosów, a teraz jest tylko 12.

M A R Y N I E.

(Muzyka J. Boczkowskiego).

Gdyśmy wyjeżdżali, grała nam muzyka,
Prać, ta-da-ra-ta, grzać, ta-da-ra-ta, bolszewika.
Żegnały nas czule ciocie i matule
W bielutkie chusteczki ocierały łzy.
Niech się was moskiewskie nie imają kule
Marsz, ta-da-ra-ta, marsz, ta-da-ra-ta.
Raz, dwa, trzy!
I żegnały nas dziewczęta
Aż im śmiały się oczęta:

Maryśki, Marynie i Manie,
oj i Manie
Rzucały kwiaty nam i śmiech
Na oczu dziewczęcych wezwanie,
na wezwanie
Z nas każdy walczyć chce za trzech.
I każdy zwycięży lub zginie,
albo zginie
Gdy wie, że mu uśmiechy ślą,
uśmiechy ślą
Te Mańki, Maryśki, Marynie,
oj Marynie
Co o swych żołnierzach ciągle śnią.

Wesoło na froncie grają ci, do kata:
Bac, ta-da ra-ta, bum-ta-da-ra-ta, gra armata
Karabiny wtórem popukują chórem,
Trzaskają granaty, rwetes, huk i świst.
Moskal ogniem praży, a ja stoję murem
Bom, ta-da-ra-ta, dziś ta-da-ra-ta
Dostał list...
Słodkie słowa liścik niesie:
Ej, chłopaki, nie dajcie się.

Maryśki, Marynie i Manie
oj i Manie
Serdecznych nam nie szczędzą słów.
Gdy żołnierz list taki dostanie
oj dostanie
To radość weń wstępuje znów.
Przy liście paczuszka—skarb rzadki
oj skarb rzadki
Z uciechy, aż się ściska krtań
oj, jak się ściska
Cukierki, tytoń i gazetki,
gazetki
Od Maryń, Marysiek i od Mań...

A gdy powrócimy, znowu dobrze będzie
Bum ta-da-ra-ta, tram-ta da-ra-ta, radość wszędzie
I na przywitanie wyjdą Mańki, Manie,
Maryśki, Maryny, śmiejąc się przez łzy.
Każdy zuch w nagrodę od nich coś dostanie
Aj, ta-da-ra-ta, oj, ta-da-ra-ta,
Raz, dwa, trzy...
Raz, dwa, trzy, a nawet cztery,
Bo w dziewczętach zapał szczery...

Maryśki, Marynie i Manie,
oj i Manie
Odwdzięczą godnie się za trud,
Ach, słodkie to będzie gruchanie
oj gruchanie
Bo usta Maryś to jak miód...

Więc cześć wam, żołnierskie pociechy,
oj, pociechy
Żołnierzu, hej na baczność stań...
na baczność stań
Pomogły ci w boju uśmiechy,
oj, uśmiechy
Tych Maryń, Marysiek i tych Mań...

J. Tuwim.

MIĘDZY TELEFONISTAMI.

— Te, Gieniek, czemu wczoraj wieczorem nie działał nasz telefon?

— Bo ja ci poszedłem z Józką do lasu na spacer...

— No?

— No i psia mać nastąpiło krótkie spięcie.

SIERŻANT NA KWATERZE.

— Pani! a to co mi pani zawsze rano daje, czy to je kawa, czy herbata?

— A bo co?

— Bo jeżeli to je kawa, to ja proszę o herbatę, a jeżeli herbata, to o kawę.

Łazik

A MY IDZIEMY.

Stan żołnierski, nie żarty,
Miły, jako blask słońca:
Świat na oścież otwarty
Do samego aż końca.
Dach masz z siwych mgieł wkoło,
Wiatr ci w oczy powiewa,
Deszczyk leje wesoło,
My zaś sobie idziewa.

Krzak pochyla się róży,
Jabłko wabi cię w sadzie,
Dym z komina się kurzy,
Nic to naszej gromadzie.
Mijasz wioskę nie jadłszy,
W dalszą drogę pułk zwiewa...
Dziewka tęsknie się patrzy,
My zaś sobie idziewa.

W polu trupa, psia noga,
Niezmierzone ilości;
Tęgo sprało się wroga,
Porozwlekał swe kości.
Poprzez wraże łby, łona,
Marsz: raz prawa, to lewa!...
Pod stopami wróg kona,
My zaś sobie idziewa.

Choć w plecaku już cienko
I w chlebaku przestrono,
Idziem z raźną piosenką,
Jak nam w górze sądzono.
Kiep, kto na krok się spóźni,
Kiep, kto snu się spodziewa,
Więc choć w kiszkach wciąż luźniej,
My ta sobie idziewa!

FRANCESCO.

W TYŁ ZWROT.

Parł bolszewik w naszą ziemię,
Polak odstępował już...
Trockij nie śpi i nie drzemie,
Runął więc jak grom wśród burz.
Myślał głupie bolszewisko
Że zwycięstwo już jest blizko.
Bo gdy odstępuje wróg.
Trzeba nie żałować nóg!

Zmniejsza się pogoni przedział.
Oto wkrótce krzyknie: hoc!...
Głupi Trockij bo nie wiedział
Co to polski duch i moc:
Nie przewąchał ów psia para
Iż go sroga spotka kara...
Za nic zamach, pot i znój:
Naród polski krzyknął: — Stój!

Mkną do boju bez różnicy:
Żołnierz, chłop i pan pod broń:
— Z drogi dzicy bolszewicy!
A bij że ich, tnij i goń!
Zbladł jak ściana herszt ich, Trocki.
Zadrżał ciemny tłum huncfocki.
Syknął hufiec wschodnich żmij
Na nasz okrzyk: — Goń i bij!

Kto żyw na czerń ławą leci:
Szewc, literat, aktor, drwal,
Mkną kobiety, męże, dzieci,
I... bolszewik wieje w dal!
Poszarpany i zdeptany
Jak zwierz krwawe liże rany.
W stronę Moskwy zwrócił pysk:
Masz co chciałeś, licz swój zysk!

OGŁOSZENIA Z ROZSYPANEJ SZPALTY.

Młoda osoba mało używana oddaje się na raty.

Wysiadając z wagonu trzeciej klasy, zgubiono rutynowaną ekspedjentkę ze znajomością stenografji.

Okazyjnie do sprzedania dwa łóżka z powodu braku amunicji.

Do wydzierżawienia polowanie na 3 pokoje z kuchnią.

Trzy posady nauczycielskie dla wstydzących się żebrać.

Wytwórnia wódek i likierów ułatwia podróż do Rygi

CO MOWI ŁAZIK?

Powiadam wam, że o mały włos byłbym bohaterem. Jak pragnę zafasować nowe portugalje.

A to było tak.

Idę sobie drogą, nie spieszę się — bo przecie wojna nie zając, nie ucieknie — raptem spostrzegam bolszewicki patrol. Jadą se wolniuśko, rozglądają się.



Zaraz pomyślałem, że jeśli się rozglądają, to mogą mnie zauważyć, skoro zaś mogą zauważyć, to lepiej przykucnąć gdzie za drzewem. A że zawsze byłem w gorącej wodzie kąpany, bo jak co postanowię, to nigdy nie zwlekam, więc zaraz hyc do rowu i leżę.

Leżę. Jak do kogo interesu nie mam, to cóż innego robić? Ale te pokraki nie szanują ludzkiego wypoczynku — człapią dalej. Więc westchnąłem do świętego Onufrego, bo matka zawsze mówiła, że jeżeli nie Łukasz, to tylko Onufry mógł być moim ojcem — i czekam, co będzie.

Tu czas leci, jak ten ślimak, tu ptaszki świergocą, jakby raptem z radości powarjowały, a oni człapią E! — myślę sobie — szlagby was trafił. Jeszcze krok zrobicie, a zobaczycie: będzie źle.

Te nic, tylko dalej człapią.

Powiedziałem już, jako interesu do tych psubratów żadnego nie miałem, więc nagle wstaję na równe nogi. Ci do mnie.

Ja — że nie lubię awantur — postanawiam cofnąć się w porządku.

Oni za mną. Pilno im psiakrew? No, zobaczymy, kto mocniejszy niby w nogach? Lecę ja, lecą oni, czyli że ja naprzód, a oni ciągiem ztyłu.

Już tchu w piersiach nie mam, ale cieszę się, bo pewno i tamci nie mają. Czekajcie, psiesyny, ja was zmęczę.

Aż tu słyszę: stoj!

— Co będzie mi taki chmyz rozkazywał? Zaraz. Stój? to ja jeszcze prędzej. Bo jakby to wyglądało, żeby porządny łazik zaraz pierwszego lepszego słuchał.

A oni jeszcze raz: Stoj, towariszcz.

Niema głupich — odpowiadam. No i lecę dalej.

Ale te bestje coraz bliżej, coraz bliżej... I ciągle: Towariszcz stoj.

— To se same stańcie, a mnie się właśnie zachciało pobiegać trochę.

Nakoniec usłyszałem wyraźnie:

— Towariszcz, gdzie tut plen.

— Plen? A, tak to co innego.

Oddali karabiny, a ja powiadam: idźta, chłopaki, to was zaprowadzę.

I, co powiecie, czterech bolszewików sam jeden wziąłem do niewoli. Byłbym ich więcej nabrał, tylko na nieszczęście akuratnie wszystkiego czterech było. Ale czułem w sobie taką siłę, że mógłbym i dziesięciu, ba! całą kompanję do dowódcy przyprowadzić.

Kapitan poklepał mnie najpierw po ramieniu, potem pogłaskał po twarzy, a nareszcie, kiedy te sukinsyny całą historję opowiedziały — jak mnie nie grzmotnie w kark, tom się o mało nie przewrócił. Całe szczęście, że jestem taki mocny w nogach.

Ale niech mu tylko głupie humory z głowy wywietrzeją, zaraz przypomnę, żeby mnie przedstawił do awansu, bo inaczej gdzieby była sprawiedliwość?

NIETUTEJSZY.

Sierżant pisze raport.

— Te, szeregowiec Guzik, nie wiesz którego to dzisiaj mamy?

Guzik, który przyprowadził jeńca.

— Czterdziestego, panie sierżancie.

— Głupiś, ja się pytam, którego września?

— A to melduję, że nie wiem, bo ja nie tutejszy.

...CHOLERY!...

— Cóż, moja Maciejowa, w waszej wsi też byli bolszewicy?

— A juści, byli.

— Dziewcząt nie uprowadzili?

— Dziewczęta do lasu pouciekały, a nam starym, cośmy na miejscu ostały, nic nie zrobili... cholery!

PIOSENKA ODE LWOWA.

Siedzi sobi legun
I tak rozpamięta:
Ach, gdzież si podzieli
Ty naszy dziewczęta!

Jedna w furdygarni,
Druga w polecyji,
A trzecia w szpitalu
Na reparacyji!

WSYĆKO JEDNO.

Była we wsi Maryś młoda —
skromna, jak ten fijołeczek
Gnali za nią wszyscy chłopcy —
było dużo bójek, sprzeczek!...
Lecz choć tak się o nią tłuką,
różne Wojtki i Michały,
na darmo to wszystko było:
cnotę miała, jak ze skały.
Ale raz ją dopadł Maciek
przy stodole, śród ciemności
i całować wziął tak mocno,
że aż zatrzeszczały kości.
Odtąd Maryś co wieczora
mknęła chyłkiem ku stodole,
a zza chmur wyglądał księżyc,
patrzał, co się dzieje w dole...
Patrzał, patrzał... Echo niosło
jakieś szepty i westchnienia...
— Maciuś... Maciuś... — A mówili,
że ty serce masz z kamienia,
Aż zabrała wojna Maćka —
w burym poszedł hen szynelu...
Jak te Bartki i Michały,
jak polazło ich tak wielu...
Tęskni Maryś za swym lubym,
ino dusza w niej skowyczy:
takby chciała choć raz jeden
znów skosztować tej słodyczy!
Ale darmo się rozgląda.
Mija jesień, mija zima...
umizga się ten i owy.
tylko nikaj Maćka nima.
Poszła Maryś w te zarośla,
gdzie zwykł czekać ją jedyny.
Pusto, cicho, ino w niebie
miesiąc śmieje się z dziewczyny.
Nagle... Co to! Ojej! Rety!
Coś tam się w ciemności rucha.
Oniemiała, przystanęła
i ze strachem w sercu słucha...
— Kto to?... — Dyć jo... — Mów, kto taki?
— Józek. — Józek? — Byłem w lesie.
— Wylękłam się. — Czego, czego?
— Czort myślałam. — Nie bój-że się.
Jął dziewczynę uspakajać
tak poczciwie, słodko, mięko,
aż Marysię strach odleciał.
Potem ją ogarnął ręką...
Ojej! rychtyk, jak i Maciuś
i podobnie w ucho szepce:
— Nic się nie bój, nic się nie bój...
Ej, chłopaki, te pochlebce.
— Puscaj... — Co tam!... No, no prosę...
— Maryś... — Ojej, nie tak zara..
Płynie miesiąc uśmiechnięty,
gwiazd rozbłysło coniemiara...

* * *

Już na wschodzie łuna bije,
księżyc zaszedł, gwiazdy bledną...
— Maciuś... Maciuś... — Dyć-em Józek...
— Wszyćko jedno, wszyćko jedno...

(h.)

BOLSZEWICKI APETYT.

— Walenty, co się stało z maźnicą i smarowidłem do osi?

— Widzita, panie gospodarzu, jak tu były bolszewiki, wszystek smar z maźnicy wyżarły, bo myślały, że to szare mydło.

NIE Z TEJ PARAFJI.

Po nabożeństwie delegat wydziału propagandy zachęca zebranych do zapisywania się na ochotnika. Opowiada tak wzruszająco o okrucieństwach bolszewików, że wszyscy zebrani płaczą.

Jeden chłop tylko stoi obojętny.

— A wy co na to, gospodarzu? — pyta niewrażliwego sąsiad.

— Mnie ta mało obchodzi. Jo nie z tej parafji—odpowiada chłop, wzruszając ramionami.

Z PRZYGÓD ŁAZIKA.

Pociąg rusza—Łazik wpada na peron.

Żandarm nie chce go wpuścić —

Łazik ostrym głosem: Czy wiesz, durniu, kto jestem?

Żandarm przerażony cofa się.

Łazik z okna: melduję posłusznie, reluton z 3 armji jestem.



— Co to jest, Izydor? Ty żadne interery nie robisz?

— Za co ja mam robicz interesów? Ja sobie tu szedze, a te kakao, co kupiłem w żyme, to uno sobie leży i drożeje.



— Wot nieszczastje! Już był nasz i Czerwony Stok, i Czerwona Wieża, i Czerwona Łąka... A teraz znów będzie Białystok, Białowieża, Białołąka.. Całą Ruś te polaki gotowi na nowo pobielić.



— Ładne jabłka, lecz bieda!
dosięgnąć nie mogę
— Zaczekaj, bolszewiku,
wnet ci dopomogę.

DO WARSZAWSKIEGO LALUSIA.

Gdy Polska cierpi męczarnie
i głos dział płynie wymowny —
Kiedyż ty rzucisz kawiarnie,
tchórzu szanowny?

Za naszych miast cmentarzysko,
za ogrom i klęski wojny,
kiedyż ty chwycisz szablisko,
o, tchórzu drżący, a strojny?

Kiedyż ty staniesz w ordynku
i będziesz Polski przedmurzem,
o, kiedyż, warszawski synku,
nie będziesz nareszcie tchórzem?

Kiedyż ty będziesz legendą
wsi polskiej, polskiego dworu —
o! kiedyż brać cię nie będą
jeno z poboru?

ZYGMUNT ZALESKI.

OBRAZIŁ SIĘ.

— Słyszałeś, co on na mnie powiedział?

— Stary osieł.

— Tak. Więc dobrze. Ja mu pokażę starego osła...

— Daj pokój, głupstwo, nie rób awantur.

— Głupstwo?.. Mam wszystkiego 45 lat. Czterdziestopięcioletni mężczyzna nie jest jeszcze stary.

OCHOTNIK.

— Podobno wstępujesz do wojska.

— A tak, wstępuję.

— Rychło wczas! Gdy już inni bolszewików od Warszawy odparli.

— Trudno, mój drogi, ja nie miałem zdrowia do wojowania.

— A teraz już masz?

— Teraz... hm... cóż?.. Teraz pozostanie już tylko trud zbierania laurów.

WARSZAWA 12-GO WRZEŚNIA 1920 r.

Redaktor odpowiedzialny: S. Michalski.

Wydawca: Tow. Akc. „ŁAZIK" Druk S. Michalskiego Chmielna 60.